

PAUL d'IVOI.

SZPIEG X. 323

1

WSTĘP.

Ja, Maks Trelam, korespondent *Timesa*, potężnego dziennika angielskiego, uważam za konieczne oznajmić, że pisząc to opowiadanie, pragnę wystawić pomnik szlachetności człowieka, którego zawód nie należy obecnie do chwalebnych.

Człowiek ten jest szpiegiem.

Tak, jest to szpieg... lecz szpieg dziwny, nieprzenikniony, jedyny w swoim rodzaju. Przedewszystkiem nigdy nie był schwytany, podczas gdy jego zawodowi koledzy wcześniej czy później ulegli temu losowi. Odznacza się on przytem niezwykłą odwagą i przenikliwością. Jego zaś zdolność rozumowania jest tak wielką, iż z pomocą daru obserwacji, jakiej w tym stopniu co u niego nie spotkałem u nikogo, może określić z matematyczną ścisłością, co jakiś człowiek w danych warunkach uczyni. Najwięcej jednak godną podziwu jest jego prawda. Przeciwników swoich ostrzega zawsze, że już jest na ich śladach.

Każdy przyzna, że człowiek obdarzony tak wyjątkowymi zaletami, może pozwolić sobie na tę niebezpieczną szczerość, zdziwi się jednak wszyscy, gdy dodam, że mój szpieg jest najzupełniej bezinteresowny i że rządy, które uciekają się do jego pomocy, muszą pozostawać ciągle jego dłużnikami. Pod względem moralnym przedstawia nieprześcigniony prawie wzór. Człowiek o istic rycerskiej szlachetności, używam tego słowa umyślnie, gdyż codziennie naraża swe życie, podejmuje się tylko tych spraw, które mu się podobają. A stwierdziłem, że w tych tylko znajduje upodobanie, które mają na celu niedopuszczenie do wojen, obronę słabych przed ciemniejszymi. Człowiek i litościwy aż do poświęcenia się dla ofiar, staje się okrutnym i wyrafinowanym srogim dla wszelkiego rodzaju despotów, z którymi walczy. Zastępując na największy podziw i uznanie, nie tylko nie stara się o nie, lecz je i lekceważy. Idzie tam zawsze, dokąd go sumienie wzywa.

Ja, Maks Trelam czuję się szczęśliwy, że mogę wyrazić swe uczucie i poważanie dla jego nieskalanej czystości charakteru, która mu pozwala przyjąć bez szemrania pogardliwą nazwę: „Szpiega“.

Pragnę tutaj przedstawić usługi, jakie mój dziwny przyjaciel oddał całej ludzkości. Chciałbym, by wszyscy go zrozumieli, tak jak ja go rozumiem i dobrocią, jaką noszą w swych sercach, otoczyli tego wielkiego obywatela całego świata.

Teraz opiszę, kiedy go spotkałem po raz pierwszy i wśród jakich okoliczności byłem przy jego boku świadkiem walki, której stawką było życie lub śmierć setek tysięcy młodych i dzielnych ludzi.

I.

ZAJŚCIE W CASABLANCA.

Bawiłem w Paryżu, gdy zaszedł ten banalny wypadek, który jednak z powodu podstępnych knoń Niemiec omal nie wywołał europejskiej wojny. Przypomnijmy fakty.

Pewien niemiecki urzędnik dyplomatyczny z Casablancą dał schronienie w konsulacie pięciu dezertom z legii cudzoziemskiej, wchodzącej w skład armii francuskiej, która na skutek mandatu udzielnego Francji przez konferencję w Algeiras, strzegła porządku w tym kraju. Gdy ten bezwzględnie winny urzędnik prowadził uciekinierów do portu, by ich wsadzić potajemnie na okręt, spotkał się z francuskim patrole. Legioniści zostali poznani i zaarrestowani. Wywiązała się bójka... Niemiec twierdził, że został poturbowany przez żołnierzy, Francuzi zaś utrzymywali, że agent konsularny rzucił się na nich.

Z tego głupstwa zrodziła się niemiecka nota dyplomatyczna, żądająca od Francji satysfakcji za naruszenie prerogatyw konsulatu. Wyptywałoby z tego, że konsulowie mają prawo pomagać do dezercji żoł-

nierzom z obcych armii. Lakoniczny bilet redaktora *Timesa*, najbardziej wpływowego dziennika na całym świecie, polecał mi śledzić negocjacje w Paryżu. Wiedziałem dobrze, chociaż mi o tem nie doniesiono, że na skutek podobnego zlecenia jeden z moich kolegów pozostaje w Berlinie. Nie mając więc nic innego do roboty, jak tylko zajmowanie się stolicą francuską, mogłem uważać swoją pracę za miły odpoczynek. Czytanie dzienników i ukazywanie się od czasu do czasu w kołach polityków i finansistów, dawało mi możliwość najdokładniejszego informowania czytelników *Timesa* o stanie umysłów u naszego współsojusznika. Wkrótce jednak miałem przekonać się, jak często szyderczy los drwi nielitościwie z naszych chęci.

Pewnego poranku, gdy siedział przy śniadaniu w dining-room hotelu Bedford, w którym zwykle zatrzymuję się podczas pobytu swego w Paryżu, zjawił się przedemną boy i podał mi depeszę, przybyłą z Londynu.

Depesza od dyrektora *Timesa*. I jaka depesza! Prawie cała broszura. Nie zdziwiłem się jednak,



Zjawił się przedemną boy i podał mi depeszę, nadesłaną z Londynu.

gdyż w naszej redakcji oszczędność nie jest w zwyczaju.

— Niech pan wydaje bez liczenia, zaleca się nowowstępującemu... jedyną troską pańską winno być zdobycie ważnych wiadomości. Cena jest tu niczem.

Nowiny musiały być wielkiej wagi, gdyż depesza była zredagowana cyframi, których sekret powierza się honorowi reportera, wysłanego w jakiejś misji przez dziennik.

Natychmiast porzuciłem śniadanie i w dwie minuty potem pracowałem w swym pokoju nad odcyfrowaniem tej zdumiewającej depeszy:

„Wczoraj wieczorem koło piątej godziny lord Downingby, nasz premier, opuścił swój wspałały gabinet, w którym razem z monarchą przygotowuje posunięcia, mające przynieść Anglii zwycięstwo na szachownicy świata. Premier udał się do sir Aldershota, niewychodzącego ze swego mieszkania z powodu przeziębienia, by omówić z nim pewne zmiany w programie budowy okrętów. O trzy na szóstą, czyli po czterdziestopięciominutowej przerwie powrócił już do swego gabinetu w Foreign. Ponieważ był zaproszony na obiad do pałacu, spieszył się bardzo i do biura wstąpił jedynie dlatego, by schować w po-

wnem miejscu dokumenty, przyniesione od sir Aldershota. Tem pewnem miejscem była kasa ogniotrwała, wmurowana poza biurkiem ministra w ścianę i pomalowana na kolor, w jakim są w pokoju tym boazerie. Straż w ministerium tworzyli wybrani żołnierze z horseguards i highlanders, gabinet więc ten uchodził na najbezpieczniejsze schronienie dla sekretnych rządowych papierów.

„Gdy premier podeszedł do kasy ogniotrwałej, stwierdził ze zdumieniem, że w czasie jego krótkiej nieobecności utworzono ją i skradziono dokument *niezwykłej wagi*, który lord Downingby miał przed dwiema godzinami w ręku. Liczba, na którą otwierała się kasa, była 323.“

Z tej dokładności szczegółów domyśliłem się odrazu, że sprawą tą zajmował się sam redaktor; wszyscy uznawaliśmy jego wyższość w tym względzie nad nami i nie obrażaliśmy się, gdy on w ważniejszych wypadkach przystępował sam do działania.

„Lord Downingby jest człowiekiem stanowczym. Nie tracąc ani chwili, zatelefonował natychmiast do policyi, do biura służby *contre-spiegowskiej*. Przypuszcza więc że złodziejem był szpieg. Rozesłano równocześnie depesze do wszystkich portów angielskich, by strzeżono czujnie pasażerów udających się do Niemiec, można bowiem przypuszczać, że szpieg działał na korzyść tego państwa. Zalecono zarazem agentom, by posunęli swą baczność do ostateczności i obiecano im niezwykłą nagrodę, cztery tysiące funtów szterlingów; ten szczegół również wykazuje doniosłość skradzionego dokumentu.

„Dowiedziałem się ponadto, że za pomocą nowej linii telegrafu bez drutu przeprowadzono cyfrową korespondencję dyplomatyczną z rządem francuskim.

„Śledztwo w ministerium nie wykryło. Highlander, stojący na straży, przypomniał sobie, że jeden z robotników, zajętych tynkowaniem fasady pałacu, wszedł do środka przez półotwarte okno, bawił tam jednak krótką chwilę, poczem zajął znowu swe miejsce na wiszącej drabinie, którą robotnicy manewrują za pomocą całego systemu sznurów i bloków. Z powodu wczesnej w tej porze nocy, robotę tę przerwano jeszcze przed powrotem premiera. O wszystkim jednak zachowano najściślejsze milczenie. Wie pan, jak nasi mężowie stanu stają się głusi, gdy chcą zachować coś w tajemnicy. Nic z nich nie można dobyć. Francuzi są bardziej rozmowni. Niech pan poszuka jakiegoś gaduły w otoczeniu prezydenta ministrów. On zapewne nie powie. „Wielki Jerzy“*). jak my go tu nazywamy, z równą łatwością wywnętrza się jak i milczy. Nie wszyscy jednak

jego towarzysze są tej samej wartości i z takim samym zasobem sprytu. Pokładam ufność w pańskiej zręczności. Proszę szukać i znaleźć. Czytelnicy *Timesa* muszą pierwszy raz poznać dokładną treść skradzionego dokumentu. Żadnych oszczędności! Wiem dobrze, że jest to warte sumy, jaką będzie potrzeba wydać. Oddany panu....“

Następował podpis.

Z pewnością nie byłbym dziennikarzem, gdybym nie lubiał logogryfów. Rebus jednak, którego rozwiązania trzeba szukać aż przy „Wielkim Jerzym“, nie stanowi już przyjemności. Wszyscy go znają, tego szatańskiego człowieka, z dziwną energiczną twarzą, z żywymi, ruchliwymi oczami, które innych przenikają, a nie dają się same zgłębić, o ruchach bystrzych a bardzo często i szorstkich. Czyni pozory potulnego, podczas gdy wistocie jest nadzwyczaj przebiegłym. Uduje często, że wywnętrza się z najgłębszych tajemnic, prawdziwej jednak myśli nigdy nie wyjawia. Jest to jeden z najwytrawniejszych mężów stanu, ale zarazem i najtrudniejszych dla interwiewu, któryby zadowolili redaktora *Timesa*.

(Ciąg dalszy nastąpi).

*) Jerzy Clemenceau.